Opłatę pocztową uiszczono ryczałtem.

WYCHODZI RAZ NA MIESIĄC

ROK V WARSZAWA, CZERWIEC 1930 R. Nr 6

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: Ks. St. SKIERSKI
ADRES REDAKCJI:
WARSZAWA, UL. LESZNO Nr 20 m. 3. Tel. 338-32.

WYDAWCA:
KOLEGJUM KOŚCIELNE WARSZAWSKIEJ PARAFJI EWANGELICKO-REFORMOWANEJ
ADRES ADMINISTRACJI — LESZNO 20. Tel. 46-32.

WARUNKI PRENUMERATY: Rocznie zł 12; półrocznie zł 6; kwartalnie zł 3. Pojedyńczy numer zł 1.50.

CENY OGŁOSZEŃ: Okładki strony 4-ej 150 zł; strony 2-ej 100 zł; strony 3-ej 75 zł.

Konto czekowe Pocztowej Kasy Oszczędności Nr 12.423.

TREŚĆ NUMERU:

1. *Ks. O. Piasecki.* Z Chrystusem przez świat ku niebios bramom . . 97
2. *Kazimierz Kosiński* Drogi religijne w literaturze polskiej (dokończenie) 100
3. *Prof. K. Serini.* List do Filipjan (d. c.) 104
4. *P. Hulka-Laskowski.* Rewindykacje 105
5. *Wacław Granzow.* Grottger. 107
6. Z ruchu wydawniczego:
   Lector. Wkroczenie chrześcijaństwa w świat. 110
7. Wiadomości z Kościoła i o Kościele 111
8. [illegible] nabożeństw. Ofiary. Od Redakcji . . . . . —

ROK V WARSZAWA, CZERWIEC 1930 R. Nr 6

Redaktor odpowiedzialny: **Ks. St. Skierski.** Adres Redakcji: WARSZAWA, UL. LESZNO Nr 20 m. 3

Wydawca: KOLEGJUM KOŚCIELNE WARSZAWSKIEJ PARAFJI EWANGELICKO-REFORMOWANEJ
Adres Administracji: LESZNO 20.

Z CHRYSTUSEM PRZEZ ŚWIAT KU NIEBIOS BRAMOM.

Ew. Łukasza 24.50—53: „I wywiódł ich precz aż do Betanji, i podniósłszy ręce swoje, błogosławił ich. I stało się, gdy ich błogosławił, że rozstał się z nimi i wzniósł się w górę do nieba. A oni, oddawszy mu pokłon, wrócili do Jerozolimy z radością wielką. I byli zawsze w świątyni chwaląc i błogosławiąc Boga".

OCZY moje podnoszę na góry, skąd mi pomoc przychodzi! Tak woła psalmista, a my powtarzamy za nim: z wyżyn przychodzi zbawienie nasze, a z gór przychodzi pomoc nasza! Na górze Ararat zawarł Bóg pierwsze przymierze z ludzkością, a na szczytach skalistych Synaju otrzymał Mojżesz tablice zakonu. Na stokach Karmelu i Horebu objawił się Bóg Eljaszowi. I Jezus pierwsze swoje kazanie wygłosił na górze. Na górze Oliwnej cierpiał i stamtąd też wzmiósł się ku wyżynom swej niebiańskiej Ojczyzny. Teraz przeminął dla apostołów czas oglądania, a nastał czas wiary, bo nie słyszą już Jego głosu i nie widzą Jego oblicza. Uczniowie nie odczuwają w sercu smutku i żalu w chwili rozstania, ale z radością wracają do Jerozolimy. Żal i smutek znika z przed oczu, roztopił się w tchnieniu radości — jako przed wzrokiem znikają nierówności gruntu, gdy ziemia okryje się kobiercem traw i kwiatów — wtedy nic nie razi oka, widać tylko falujące morze kwiecia aż hen do widnokręgu.

I my wznosimy oczy swojej duszy ku górze wniebowstąpienia, ulatujemy w modlitwie ku niebiosom! Choć Pana nie widać, ale z góry tej roztacza się malowniczy widok skąpany w niebiańskiem świetle i dwie wijące się drogi: jedna droga prowadzi z Chrystusem do świata, a druga prowadzi ku Niemu do niebios bram. Uczniowie muszą wracać z błogosławionych wyżyn do zgiełku i wrzawy miasta grzechu. Oni muszą iść w świat, ale otrzymali najpierw upomnek z niebiańskiej ojczyzny: dar Ducha Świętego. Obietnica tego daru w powrotnej drodze z Góry

Oliwnej oświetlała im niebiańskiemi promieniami drogę i dodawała im odwagi i siły w ciężkiem powołaniu. Oni niosą w pochodzie swym spragnionej ludzkości, światłość, miłość i życie. Tych rzeczy świat potrzebuje, więc idą zgodnie z nakazem Jezusa: „Idąc na wszystek świat każcie Ewangelję wszystkiemu stworzeniu". Droga uczni prowadzi do świata. Niezadługo jednak chrześcijaństwo zaparło się tego posłannictwa i zmieniło nakaz Jezusa na inny wręcz przeciwny temu pierwotnemu. Od chwili kiedy św. Antoni udał się do pustelni w Egipcie, by tam wieść życie samotnika, w ascezie i wyrzeczeniu się; wtedy rozległy się wołania: Uczniowie Jezusa muszą opuścić świat! Rodzi się wtedy chrześcijaństwo zamknięte i odcięte od świata, zakonne, klasztorne, przeciwne nakazowi Jezusa. Kto lepiej czyni, czy ten, który działa w ściecie, czy ten, który dla Jezusa wyrzeka się świata, rodziny, mienia, powołania i pracy? Zwyciężyło życie zakonne jako wyraz i stopień wyższej doskonałości!

Czyż nie mieli uczniowie Jezusa pozostać w Jerozolimie? mówią zwolennicy życia pustelniczego. Czyż nie stali się obcymi w tem mieście i otoczeniu, z którem i ich nic nie łączyło? Czyż godziny oczekiwania na dar Ducha Św. nie skracali sobie jak prawdziwi asceci modlitwami i chwaleniem Boga? Czyż pierwsze chrześcijaństwo nie było oazą wśród pustyni lub samotną wyspą wśród wzburzonych fal oceanu? Czyż nie jest to w duchu Chrystusa, aby naśladować tą ucieczkę pierwszegw zboru od świata? Cóż odpowiemy na te pytania? Dla uczni Jezusa ten czas ciszy i spokoju, to okres przygotowania, w którem odczuwali bliskość Jezusa: „Oto jam jest z wami po wszystkie dni aż do skończenia świata". Ta cisza to okres skupienia i ześrodkowania myśli, aby móc później działać i nieść sztandar Ewangelji o ukrzyżowanym Jezusie do krajów pogańskich. A gdy minął ten czas, poszli w świat, udzielając błogosławieństwa, albowiem spoczywał na nich duch i ręka Jezusa. Kościół późniejszy użył wszelkich zewnętrznych środków, aby wyróżnić głosicieli Ewangielji od zwykłych ludzi, choć apostołowie niczem się nie wyróżniali od otoczenia! Może nam potrzeba takich odznak zewnętrznych, aby pod fałdami szat ukryć nasze ubóstwo ducha, aby ukryć błędy i grzechy przed okiem ludzkim? Ale to wstyd nam przynosi, bo dla apostołów komżą, stułą, mitrą i pastorałem było błogosławieństwo Jezusowe. To była tajemnicza i niepojęta moc tych prostych rybaków i tkaczy, która przekształcała świat. W oczach ich tliła iskra miłości i miłosierdzia, zapalona przez Jezusa, odblask majestatu i wieczności — ale gdyśmy dziś tego pozbawieni — to co damy światu? Tylko błogosławiony może błogosławić tylko pocieszony może pocieszać!

Z ust kaznodziei chcielibyśmy usłyczeć echo słów Jezusa, które spłynęły z Jego warg, a blask miłości, który swiecił w oczach Jezusa chcielibyśmy odczuć w duszy naszej i wyczuwać dotknięcie rąk Jezusa na naszej strudzonej głowie! Uczniowie znaczyli swe kroki błogosławieństwami, a Jezus i dziś jeszcze błogosławi. Jego błogosławiące ręce, gdy się wznosił ku górze obejmowały coraz szersze kręgi, coraz nowe kraje i światy, coraz dalsze okresy czasu. Wrogowie Jezusa wskazują na wojny religijne i stosy średniowieczne, mówiąc, że chrześcijanie w imieniu Jezusa zabijali sie i przelewali krew — czyli Jezus nie stał się błogosławieństwem! Nie chcemy zakrywać lub upiększać potwornych nieraz czynów popełnionych w imieniu Jezusa, ale to właśnie najwięcej ucierpieli ewangelicy i nasz Kościół otoczony jest glorją męczeństwa. Wielu ewangelików wszędzie ginęło na stosach wśród okrutnych tortur i męczarni, a i u nas w Polsce prześladowali nas właśnie ci, którzy mają czelną i bluźnierczą odwagę zwać się od imienia Jezusa zakonem Jezuitów. Ale prześladowania te choć przerzedziły nasze szeregi, to jednak zahartowały tych, którzy wytrwali w ojczyźnie przy sztandarze Ewangelji. Pomyślmy jednak coby się stało dzisiaj z nami, gdyby chciano wyrwać imię Jezusa z naszej pamięci i serca, gdyby wyrywano z rąk naszych Biblję i katowano nas za wyznanie nauki Chrystusa? W Rosji sowieckiej dzisiaj cierpią prześladowanie wyznawcy krzyża, ale słusznie, bo nie kroczyli po drodze wskazanej przez Jezusa do świata aby go przekształcić i przekuć młotem Ewangelji, lecz popierali ucieczkę od świata — więc co siali, to teraz żąć muszą i nic dziwnego, że resztka mnichów wygnana z płaczem uchodzić musiała z Ławry Peczerskiej. Ale ci, co w oblężonej twierdzy wytrwają do końca, ci słusznie będą mogli zwać się uczniami Jezusa. A my, każdy poszczególnie, cośmy uczynili, aby przekształcić świat w duchu Jezusa, bo nie pomoże nam biadanie Hamilkarowe na gruzach Kartaginy, wtedy będzie już zapóźno! O czem mówią te puste ławy w kościele naszym, czy o trwaniu przy Jezusie i jego Ewangelji? Kościół dzisiaj przestał być modnym, bo nie głosi

sensacji i nie pociąga wzroku wspaniałem widowiskiem. Nie potrzeba nam ludzi przychodzącyah do kościoła z przyzwyczajenia, konwenansu czy grzeczności! Choć Jeruzalem nasze leży poza bramami kościoła, to jednak w kościele mamy czerpać moc i siłę do walki. Mamy być chrześcijanami nie tylko w kościele, ale każdy na swoim posterunku, w swojej pracy, w domu czy w biurze, w fabryce czy w warsztacie. Do czynu woła nas Jezus i do głoszenia jego Ewangelji w życiu, aby stać się dla innych błogosławieństwem. Nam potrzeba czynnego osobistego chrześcijaństwa, które przechodzi z osoby na osobę, płynie z serca do serca. Nie pomogą nam pieśni ani modlitwy, ani kazania, jeśli nie wejdziemy na drogę czynu, wskazaną przez Chrystusa. A ci którzy po niej kroczą znajdują i drugą drogę, wiodącą wzwyż ku niebiosom.

Ale czy wszyscy znamy drogę i cel naszej wędrówki życiowej? Czy w zgiełku tego świata, wśród radości i uciech nie zapominamy nieraz o drodze wzwyż, która nas czeka po znojach i trudach życia i walki? Po trudach walki, goryczach cierpienia przyjmie nas Jezus do siebie do swojej niebiańskiej ojczyzny. Ale nikt nie przychodzi do ojca, tylko przez Jezusa, bo On jest drogą, prawdą i żywotem. Myśmy z prochu zrodzeni obywatele tej ziemi również obywatelami tamtej górnej ojczyzny, górnego Jeruzalem, ale tylko wtedy jeśli odczuwamy w duszy tęsknotę powrotu, nostalgję za utraconą ojczyzną. Czem są chwilowe radości, smutki, trudy, troski, zawody i nędza wobec wielkiej radości jaka nas czeka? Nieraz ciężkie i czarne chmury naładowane gromem i błyskawicami przewalają się po niebie naszego życia, ale one znikają i znów piękniej i jaśniej niż przedtem świeci cudne słońce. W takich chwilach stańmy na górze Wniebowstąpienia, a rozleglejszy i pełen barw i jasności widok roztoczy się przed oczyma naszemi. Jezus choć nie miał ni piędzi ziemi, na której by stanęła stopa jego, jednak jak królewicz wraca po zwycięstwie z wrogiego kraju do ojczyzny, bo tu na ziemi zostawił swoje bohaterskie wojsko, które ma walczyć pod sztandarem Jego Ewangelji aż do ostatniej kropli krwi. Czy jednak teraz jeszcze walczy? Kiedy chmura cierpień i łez przesłoni nasze oczy wtedy staną u naszego boku dwie niebiańskie postacie w jasnych szatach, którym na imię wiara i nadzieja — te nas pocieszają w smutku, tęsknocie i bólu, te ocierają nasze łzy. Uczniowie po Wniebowstąpieniu Jezusa utracili ziemską ojczyznę, bo dom ich i ojczyzna jest tam, gdzie przebywa Jezus. Własna ich ojczyzna ziemska stała się im obczyzną, a nieznany dla nich daleki kraj stał się im ojczyzną. Są oni jako dzieci, których rodzice się przeprowadzili, jako miłująca żona, która nieznany obcy kraj swego męża uważa za swoją ojczyznę. Niektórzy jednak ludzie mówią: Pokażcie nam wasze niebo, czy jest ono nad konstelacją Orjona, czy też tam, gdzie jaśnieje krzyż południa? Mimo tych drwin jednak w duszy każdego człowieka tkwi tęsknota za doskonałością i każdy odczuwa lęk przed śmiercią! Każdy pragnąłby wyglądować na drugim brzegu oceanu wieczności! Jezus kojarzy w głębinach duszy naszej drzemiące tony tęsknoty i nadziei w cudną melodję, którą nas oczarowuje i pociąga wzwyż ku niebiosom: „W domu Ojca mego wiele jest mieszkania, a ja idę, aby wam miejsce zgotować". Uczniowie odeszli z góry Wniebowstąpienia z radością, bo byli pewni, że po dokonaniu pracy i żywota pociągnie ich Jezus do światłości, do której sam wszedł. My też nigdy nie wyzbędziemy się tęsknoty za światłem. Wielkim dobroczyńcą ludzkości jest ten, kto zaspakaja nasz głód światłości.

Dzisiaj święcimy zwycięstwo tego Jezusa, który stał się słońcem i światłościa dla ludzi zbłąkanych w ciemnościach na manowcach życia! Uczniowie po odejściu Jezusa stali się jako planety szukające swego słońca, które zmieniło miejsce swego biegu. Uczniowie Jezusa teraz idą na spotkanie Jezusa, a zawsze słońce mają przed swemi oczyma. Jest różnica między uczniami Jezusa, a zwykłymi ludźmi: jedni i drudzy wędrują po tej samej ziemi, po przez te same doliny i wzgórza, ale jedni mają słońce przed sobą, a cień się musi wlec za nimi, a inni tylko cień widzą przed sobą, słońce kryje się za ich plecami. Tam, gdzie jedni widzą światłość, tam inni spostrzegają ciemność, jedni idą ku porannej zorzy dnia, a nad drugimi noc rozpościera swe czarne skrzydła. A nie ma nic smutniejszego dla ludzi jak śmierć, która wyrywa drogie i kochane osoby z naszego grona. Wtedy oczyma pełnemi łez chcielibyśmy przebić mroki śmierci i wydrzeć tajemnicę wieczności. Ale Chrystus rozwarł przed nami wrota do niebios, przeto dla prawdziwego wyznawcy Chrystusa śmierć jest tylko wędrówką po drodze prowadzącej wzwyż ku niebu. I dla nas wśród mroków i ciemności śmierci zajaśnieje wieczne słońce Jezusowe, kiedy zamkną się źrenice nasze. Dla prawdziwego ucznia Jezusowego śmierć jest tylko snem, z którego budzi się

na drugim brzegu oceanu wieczności. Uczniowie zawsze po drodze życia wędrują ku słońcu, choć cienie się ciągle wydłużają, jednak zawsze zostają i wloką się za nimi, a choć na chwilę słońce zagaśnie — to jednak znów ukaże się na drugim brzegu życia jaśniejsze i w pełni blasku, Lecz tu za życia musimy iść drogą wskazaną nam przez Chrystusa i wstępować od czasu do czasu na skrzydłach duszy do nieba, albowiem modlitwa jest wniebowstąpieniem duszy jeszcze za życia, a dom Boży jest wśród zgiełku tego świata przedsionkiem niebios. Wykradajmy się często, codziennie na samotne i zaciszne wyżyny modlitwy, abyśmy świat mieli pod swemi stopami w dole, a nad nami przestworza ciszy i pokoju. Niechaj ta chwila spędzona w Ojczyźnie niebieskiej da nam siły i moc, abyśmy zstępując z góry wniebowstąpienia mogli wrócić do pracy, abyśmy mogli walczyć i cierpieć, płakać i modlić się, gdy znajdziemy się w naszem ziemskiem Jeruzalem, wśród zgiełku i wrzawy! *Ks. O. PIASECKI.*

KAZIMIERZ KOSIŃSKI.

DROGI RELIGIJNE W LITERATURZE POLSKIEJ.

(dokończenie).

Natchnionym poetą religijnym wojny jest ten sam Wacław Potocki. W trudzie religijnym Potockiego mamy drogę podwójną, tę samą, którą widzieliśmy w w. XVI-ym — mękę dźwigania Polski na wyżyny i ból na widok rzeczywistości polskiej, oraz przylgnięcie ze strachem w duszy do Boga, który kieruje losami narodów. Losy te jednak wykuwają się nie w modlitwie, ale w ogniach bitew, w przelanej krwi i śmierci za ojczyznę. Wiek XVII zmienił społeczeństwo szlacheckie w Polsce z powrotem na stan rycerski. Gdyby przy odrodzonym duchu rycerskim narodu nastąpiło wtenczas podniesienie ducha obywatelskiego, nie byłoby wspanialszej epoki dziejów polskich, jak w. XVII. Dusze atoli skurczyły się już w pesymizmie w. XVI-go, a choroba woli i obskurantyzm przejawiły się teraz w całej nagości negatywnie w stosunku do państwa. Pozostała krytyka rzeczywistości polskiej ówczesnej, na którą zdobywał się każdy, często najmniej powołany po temu i mesjanizm, t. j. ta wiara w posłannictwo polskie. W ten sposób Polska podniesioną została do godności narodu wybranego, ale na polu wojny za chrześcijaństwo; wszystko inne poddaje się biernie losowi, aż wyrośnie zasada, że Polska nierządem stoi. Potocki w swoim patrjotyzmie nigdy takiej zasady nie uznał i cierpiał nad nią. To pogłębiało jego rozdarcie wewnętrzne, aż zamknął się w sobie i rozmarzył przeszłością polską, którą ujął przez pryzmat swojej duszy rycerskiej. Potockiego przeszłość polska rycerska sięgała atoli nienazbyt daleko; ludzi na miarę Boga i ojczyzny dopatrzył się w Wojnie chocimskiej 1622 r. Bohaterstwo obrońców Chocimia wywarło nań urok mocy i poświęcenia, a postać wodza, Karola Chodkiewicza, stała się dlań święta. Bohaterowie z pod Chocimia czynią tu nieustannie ofiarę wojny, jakby odprawiali jakieś nabożeństwo wojny, opuszczeni przez swoich, zdani na łaskę i niełaskę losu, siły swoje czerpią z Boga, a mają nad sobą kapłana wojny, Chodkiewicza, który upadabnia się do Goffreda z Jerozolimy wyzwolonej. Dusze swoje krzepią modlitwą, w której łączy się Bóg, Polska i chrześcijaństwo. Bóg staje się tu Bogiem wojny, który objawia się w szturmach, w huku armat i daje zwycięstwo nad nieprzyjacielem. Bóg ten poniża pysznych i strąca nieprzyjaciół. Potocki wierzył z głębi duszy, że pod Chocimiem sam Bóg osobiście kierował orężem polskim. On był źródłem odwagi Polaków,

Którzy, Bogu oddawszy swej nadzieje skutki,
Skoro hetmańskie kotły ogłoszą pobudki,
Pod przestrone swych wodzów schodzą się namioty,
Gdzie kapłani jarzęce zapaliwszy knoty,
Przed żałosną figurą śmierci jego smutnej
Ofiarę Mu a oraz akt skruchy pokutny
Upokorzonym duchem oddają, a przytem
Żebrzą, żeby raczył być swym ludziom zaszczytem.

Ten Chrystusowy charakter w sprawowaniu wojny przejawia się we wszystkich pod Chocimiem, ale najbardziej w Chodkiewiczu. Mówi tu wódz do rycerstwa:

Dziś Wam się Bóg swej chwały, dziś ołtarzów zwierza
Nowego, które stwierdził krwią własną, przymierza.

Jakoż to właśnie przymierze z Bogiem było treścią zapładniającą mesjanizm polski XVII w. I Potocki był mesjanistą, chociaż pozatem był krytykiem swego narodu. Był on jednym z tych ludzi, w których duszy, jak we źwierciadle, odbijały się wszystkie błędy i winy narodu, za które cierpią, a pozostają bezsilni w męce ducha. Z siebie złożył ofiarę na ołtarzu ojczyzny, walczył za nią i oddał jej synów, którzy polegli, jednak umierał w rozpaczy. I tylko Bóg stawał się jego ucieczką i zapomnieniem, ale do Boga szedł on z Polską w duszy, wykołysaną w snach i wymarzoną w cierpieniu. Ta jego Polska zamknęła się wraz z nim w obozie Chodkiewicza.

Był Potocki uosobieniem idealizmu polskiego i bezsiły smutku, i o nim to można powiedzieć, że człowiek ten był „całym Polakiem".

Tak więc powtórzymy raz jeszcze: wiek XVII żył pod znamieniem wiary i pobożności, ale wiara i pobożność nie zapalały dusz, stając się bigoterją pośród mas. Natomiast rozpłomieniały się dusze w ogniach łun i szczęku oręża. Stamtąd, z dalekich kresów bitewnych i z pobojowisk bliskich, z mogił poległych szła do narodu wiara, że jest wybrańcem bożym. Wiarę tę mieli najlepsi w narodzie, podczas kiedy masy poczęły na niej żerować niebawem.

Wyrazem tej wiary w literaturze polskiej będą Kazania Birkowskiego, Lament Starowolskiego, Wojna domowa Twardowskiego, a nadewszystko Psalmodja polska Kochowskiego i jego pieśni religijne. Mamy w tej wierze jek narodu, że go opuścił Bóg śród nieprzyjaciół, ale i nadzieję, że wszystko się naprawi, gdy Polska posłannictwa dopełni. A że nie upadła Polska wtedy, czasu potopu wojen, wiara ta mogła dokonać odrodzenia narodu. Stało się inaczej. Mesianizm polski nie przekracza granicy w. XVII. W tym wieku jednak był on skrzepieniem serc, które podtrzymał w walce o niepodległość, zaś wartość jego stanowi fakt, *że poraz pierwszy wkładał on treść ideową w cierpienie narodu polskiego.* Narazie mesjanizm polski kończy się z ustaniem wojen XVII w., ostatni jego błysk mamy u Kochowskiego w Psalmach na zwycięstwo wiedeńskie. Koło niego wszakże owija się cała poezja patrjotyczno-religijna XVII-go wieku, w której zawarł sie nietylko ból, ale niejednokrotnie i wstyd. (Dawna Kanneńska odnowiona). I jeszcze jedno: mesjanizm polski XVII wieku znalazł oparcie w kulcie Maryjnym. Ten kult Maryjny miał teraz mocną podstawę w fakcie obrony Częstochowy i w ślubach Jana Kazimierza z czasu wojny szwedzkiej. W obronie tej przejawiło się maximum wiary i była ta obrona punktem zwrotnym w dziejach narodu, który natenczas dojrzał drzemiącą w sobie moc i wyzwolił ją do walki. W piersiach Kordeckiego, jak twierdził Witkiewicz, skupił się wtedy duch narodu, ta niespożyta jego siła, zdolna się w jednym przejawić człowieku.

Wchodzimy w w. XVIII, który przynosi z sobą zagadnienia nowe. Jest to wiek znany pod nazwą Oświecenia, do którego prowadziły dwie drogi: racjonalizmu i sensualizmu. Wiek ten, wraz z Odrodzeniem, dokonał budowy czasów nowożytnych. Miał w sobie wiek Oświecenia wiele wspólnego z Odrodzeniem, miał przedewszystkiem wspólną wiarę w potęgę życia. Od siebie przyniósł dogmat rozumu, który był źródłem jego optymizmu. Z jednej strony głosił on triumf życia i nieograniczony rozwój sił, a z drugiej prymat rozumu postawił nad życiem, co w rezultacie dawało jego nieznajomość. Wiek XVIII łatwo znajdował remedja nawet tam, gdzie rozwiązania kwestji należało szukać w duszy ludzkiej, nie zaś w rozumie — jak w kwestji wiary i moralności. Rozum dyktował tu utylitaryzm, który często w tym wieku pokrywał się z brakiem etyki. Z drugiej strony jednakże wiek XVIII-y wiązał człowieka ściśle z całością społeczną i poddał krytyce jej urządzenia. Był to wiek analizy i krytyki, wobec której nie ostało się nic z dawnego pojmowania życia. Wiek Oświecenia przynosi z sobą pojmowanie materjalne dziejów i gotową regułę bytu, nad którym Boga prawie że niema. Przyroda żyje tu życiem własnem, a człowiek posiada głębię rozumu, którą trzeba wyzwolić w nim przez wychowanie. Deizm osiemnastowieczny wyprowadzał pojęcie Boga zarówno z uczucia, jak z rozumu. Atoli wobec krytyki rozumu nie mogło się ostać Objawienie, jako zamknięta wiedza o Bogu, człowieku i życiu. Teraz uzyskuje głos przyroda. Już Galileusz głosił zasadę matematyczną w przyrodzie, a Kartezjusz podmiot myślący czynił podstawą swej filozofji. Co jednak trzeba podkreślić z naciskiem, że Oświecenie przyniosło z sobą nietylko filozofję nową, ale i nowy typ człowieka — człowieka myślącego i działającego przez rozum. Jeżeli idzie o Polskę, wpływ Oświecenia przyczynił się walnie do podjęcia reform, do wznowienia egzekucji praw koronnych, dzięki tej właśnie krytyce rozumowej stosunków i położenia państwa, która krytyka w tym wypadku musiała stanąć ponad tradycją polską, szkodliwą i złą. I gdyby nie było w Polsce Oświecenia, byłby się nie dokonał akt Konstytucji 3-go Maja. Lecz racjonaliści nasi nie byli do końca deistami, gdy chodziło o Polskę: widzieli nad nią dawną, tę samą Opatrzność. Atoli Bóg pozatem przybierał u nich charakter, że tak powiemy, społeczny, zgodnie z założeniami wieku, który przynosił z sobą Deklarację praw człowieka. U Staszica z wiary w Boga, jako najwyższe dobro i z wiary w rozum „jako drogę do szczęścia wiodącą", wypływał kult zbiorowości, ale za Objawienie boże uważał on prawa natury i prawa rozumu.[1]) Kołłątaj w Bogu widział prawodawcę prawdy, zaś w Chrystusie jej bohatera, który umarł na krzyżu „lecz Ewangelja jego stała się nauką wszystkich narodów, regułą obyczajów, wzorem praw..." [2]) Dodajmy do tego: praw społecznych, które znoszą przywilej, które równają człowieka.

Wiek XVIII natomiast osłabił w Polsce pobożność siedemnastowieczną i oddzielił państwo od religji w literaturze, co nie znaczyło negacji Boga w stosunkach ludzkich. Faktem pozostanie że w literaturze dzięki Oświeceniu religijność zeszła na plan drugi. Pod koniec przejawiła się ona w Pieśniach Konfederatów barskich, które do literatury wszakże należą tylko pomnikowo. Do jakich zatem doszliśmy rezultatów?

[1]) Dr. Czesław Leśniewski: Stanisław Staszic — Warszawa 1926 str. 332-3.

[2]) Do prześwietnej Deputacji Kołłątaja.

Że cztery były drogi, któremi religijność przenikała do literatury Polski niepodległej: stanowiły ją wiara, humanizm i reformacja, państwo, a potem wojna w obronie ojczyzny.

Państwo w promieniach wiary, jako treść modlitewna duszy, daje mesjanizm polski, którego ideą staje się rola Polski w obronie chrześcijaństwa.

Mesjanizm polski był w XVII w. źródłem religijności polskiej, a nie była niem t. zw. reakcja katolicka.

W wieku Oświecenia religijność słabnie.

Religijność dawna siedemnastowieczna przejawia się w Konfederacji Barskiej, która jest ostatnim ruchem o charakterze szlacheckim z zeszłego stulecia.

— — — — — — — — — — — — — —

Wszystkie powyższe drogi religijne zeszły się ostatecznie w Mickiewiczu, który przyszedł na świat w trzy lata po III rozbiorze Polski.

Wychowany w domu szlacheckim i w szkole Dominikanów w pobożności z XVII w., wcześnie miał zbudowaną wieżbę religijna duszy, z przewagą w niej kultu Maryjnego. Na Uniwersytecie wileńskim wszedł w atmosferę wieku Oświecenia; zdobył tam podstawe klasyczną swojej kultury duchowej, stał się jednostką uspołecznioną przez filomatyzm; poddał sie wpływom Voltaire'a. W samotności kowieńskiej przerodził się na romantyka i zdobył pogląd irracjonalny na życie, pogłebił się religijnie.

W Hymnie na Zwiastowanie stawał nad niemą z bojaźni czernią, zatopioną w modlitwie, lecz uzależniał natchnienie od bóstwa.

W Odzie do młodości wyraził wiarę w postęp moralny ludzki, w realizację ideału na ziemi, który jest treścia duszy i w niej się urzeczywistnia przez entuzjazm.

Oda do młodości jest jego wyznaniem wiary: w dobro i miłość w pracę zbiorową i poświecenie dla idei w zgodzie i uścisku bratnim. Nagrodą za to jest sława. Na tych irracjonalnych podstawach duszy powstanie nowy świat ducha:

Młodość go pocznie na swojem łonie,
A przyjaźń w wieczne utwierdzi spójnie.

W Romantyczności wyraził pogląd, że racjonalizm ze swoją krytyką rozumu nie może objąć całego świata duszy, że jest bezsilny wobec czynnika wiary i uczucia.

Jako romantyk, wierzył już wtedy w zwiazek nierozerwalny ziemi z zaświatem; w Balladach odkrył intuicyjnie przyszłe swoje drogi ducha, i nawiązał ciągłość linji w rozwoju swego irracjonalizmu.

Związek z zaświatem, wiara w sprawiedliwość boską, wyrokującą po śmierci człowieka za jego żywot, wiara w miłość, jako najwyższą harmonję serc dwojga istot pośrodku tworów ziemi — uwydatniła się w Dziadach kowieńskich.

Życie ujmował jako cierpienie, zgodnie z ideologją romantyzmu. Nawet miłość jest cierpieniem. Jako wychowanek wieku Oświecenia uwielbia jednak czyn i wierzy w przebudowę życia.

W procesie filaretów odsłania nowe wartości duszy i rozpoczyna swoją wędrówkę do Polski. Polska odtąd wypełnia mu duszę, a mękę współbraci upadabnia już wtedy do ofiary Chrystusa. Dla siebie nie pragnie nic, gdy wraz z innymi idzie na wygnanie.

Poznał, co znaczy w sobie czuć mękę narodu, uczuł się tym, który za naród cierpi, lecz jeszcze nie wodzem. Atoli wyzbył się złud, że naród cały wykuwa swoją przyszłość. Utwierdza się w przekonaniu, że nad narodem stoją jednostki przodujące, że one czynią zań w historji.

Genjusz narodu ma u niego cechy prometejskie, widzi jego drogi i czyta w jego losach, za niego walczy, ale w tej walce może być poza moralnością. Takiej jednostce prometejskiej naród mandatu nie daje; daje mu go własna moc i własna potega ducha z zdolnością do ofiary; o niej dochodzi słuch do mas w legendzie i pieśni, których nic nie zagubi.

Mickiewicz na wygnaniu przeorał się trudem podwójnym i doszedł do rozdwojenia w sobie— wtedy po raz pierwszy w życiu.

Chciał dźwigać naród, zapalić w nim ducha zemsty, rozpłomienić w nim miłość a zapominał o Bogu w zemście, którego prawem jest miłość. I nie dopatrzył snać, że naród wiódł do grzechu dla podźwignięcia go z upadku.

Ale już wtedy związał sie z narodem, z którym stanowił jedność, choć jeszcze nie czuł się wodzem.

Wtedy napotkał człowieka, który go duchem uderzył i o miłości powiedział, który go wezwał „w imię Boże".

Odtąd począł mu w duszy narastać Bóg, coraz wszechstronniej i wyłączniej, Bóg, który zdał się być Polsce przeciwnym.

Tu była męka i rozdwojenie, tu była praca podwójna, że dochodził do Polski w duszy nawet przez zemste i grzech, a jednocześnie do Boga. Meczył się w trudzie patrjotycznym, w swojej tęsknocie do państwa i *osobno* w religijnym.

Taki wyjeżdża na Zachód. Duch religijny, raz zasiany, rośnie już w nim do potęgi.

W kościele Santa Croce (we Florencji) przy grobie Galileusza mówi o zwycięstwie wiary nad rozumem i o przewadze ducha nad materją. Mówił, że słońce wiary oświeci kiedyś byt człowieka.

Potem przyjeżdża do Rzymu, który mówi doń ruinami, przemawia Krzyżem w Colosseum i ukazuje Chrystusa.

Śni mu się dramat prometejski; bohater w nim urąga niebu, ale doń schodzi Chrystus, w którym rozpływa się Prometeusz.

Który stał się pychą rozumu, nie już genjuszem narodu, nie już nim samym, w trudzie dźwigania go do mocy.

Jest rozdwojony w sobie, do samotności biegnie „z codziennych życia upałów":

I bez oddechu w górze, bez ciepła na dole
Równie jestem wygnańcem — w oboim żywiole —

mówi o sobie.

W tej samotności rzymskiej, w przededniu wybuchu Powstania ryje się pługiem pokory do ukrzyżowania duszy.

Polskę jakby odsuwał wtedy w tęsknocie swojej do Boga.

Lecz właśnie wtedy Mickiewicz poczuł sie wodzem narodu.

Zagłębił się był duszą w Tomasza à Kempis Naśladowaniu Chrystusa.

Wrócił do średniowiecznego chrześcijaństwa, do ucieczki klasztornej od świata, do wypracowywania w sobie stosunku do Boga przez pokorę i miłość.

Kiedy się tak grążył w Bogu, wtedy zrozumiał prawdę, że im głębsza pokora, im cichsze serce w człowieku, tem człowiek Boga bliższy, aż stanie ponad ludźmi w potędze swojej ducha.

Bo taki człowiek Boży, choć się poniży i zmali, to się powyższy i wyogromni, aż stanie nad narodem.

Wtedy Mickiewicz właśnie uczuł się wodzem narodu.

Dopatrzył się jednak pychy w tem, że korzył się przed Bogiem, jak przyszły wódz.

Więc wrócił do pokory czystej, bez myśli już o wodzowstwie, aż uczuł się w jedności z Bogiem.

Kiedy Mickiewicz stawał się człowiekiem Bożym, w kraju wybuchło Powstanie.

Kiedy on szukał drogi, by poprowadzić naród, ten właśnie wiezy zrzucał.

Wtedy pojął Mickiewicz: że nie on jest wodzem narodu, lecz naród jest jego wodzem. Znów poddał się w pokorze, narodem przeorał duszę, aż stał się jako wielu, jednym z pomiędzy miljonów, sługą narodu, jak czuł sie sługą Bożym. W ten sposób scalił duszę — Polską i Bogiem!

Po upadku Powstania znów dźwignął się na szczyty męki aż do rozdwojenia duszy.

Mickiewicz zwątpił w sprawiedliwość boską i poddał Go analizie rozumu w myśl wieku Oświecenia. Na moment wrócił do osiemnastowiecznego deizmu, do rozumowej afirmacji Boga, jako zasady przyrodzonej bytu, która nie wie o męce ludzkiej, która nie jest miłością, a tylko mądrością.

Ale Mickiewicz był już po okresie rzymskim — i to rozdarcie duszy nie mogło trwać długo. Scala się niebawem wiarą, która w nim zwycięża. Wtedy się poczuł *wskrzesicielem* narodu i dał mu Słowo, dał mu Ewangelję narodową.

Że polska zmartwychwstanie.
Że wiara ją uchroni.
Że miłość popchnie na wyłom.
Że nadzieja w niewoli podtrzyma.
Że poświęcenie dla ojczyzny ma wartość Chrystusową.
Że Chrystus jest w męce tych, którzy za ojczyznę giną.
Że Polska w swoim upadku była ofiarą za ludy, jak Chrystus przed wiekami.

Ale to już mesjanizm Mickiewicza, który w nim teraz zmartwychwstał po w. XVII, z którym Mickiewicz nawiązał nici, jako że Polska wtedy była przedmurzem chrześcijaństwa. Lecz dodał jeszcze jedno: że wcielała w dziejach ideę Chrystusa — którą utożsamiał z ideą wolności.

Mesjanizm Mickiewicza zapładniał duszę polską etyką bohaterstwa.

Było w nim podniesienie Polski do potęgi uczuć religijnych.

Pozatem uzależnał ją od ludzi i dał wskazania naczelne:

Że od rozmiaru dusz, o ile się powiększą, zależy przyszła Polska,
Że od jakości dusz zależą przyszłe losy narodu

Do czego zatem doszedł Mickiewicz w swoim trudzie? Do nowego człowieka w Polsce, który będzie człowiekiem bożym.

Odtąd szedł ciągle wzwyż po linji swego człowieczeństwa. Rzucił poezję pisaną, by już nie słowem tylko, ale życiem Mu przyświadczył.

Przez Koło Paryskie, przez Towiańskiego, przez Braci zjednoczonych, przez wykłady w Collège de France poszedł do tego człowieczeństwa bożego w sobie.

Powiedział Mickiewicz, w Kole 3 kwietnia 1847 r.:

„Siła człowieka wewnętrzna jest niezmierna, jakiej rozum ani przewidzieć nie może. Człowiek w duchu swoim ma wszystko, co go czyni podobieństwem, obrazem Boga. Jest w nim nieskończoność ciemna, i w nią rzucone wszystkie zarody, które krążąc, póty go niepokoją, aż póki który nie zabłyśnie czystem światłem.

„Przeznaczenie człowieka jest: wydobywać swoje zarody na światło i nie dać odpadać im w ciemność. Chrystus był w ciemnościach światłością, której ciemności ogarnąć nie zdołały".

Ale w tej trosce o duszę, w tem wydobywaniu z siebie człowieka, w tem dążeniu najwyższem do Boga, była u niego zawsze Polska, dla której modlił się:

„O wojnę powszechną za wolność ludów,
O broń i orły narodowe,
O śmierć szczęśliwą na polu bitwy".
. . . . . .

W Mickiewiczu zatem zeszły się wszystkie nasze drogi religijne: i droga wiary i szukanie w sobie nowej religji i tęsknota do państwa i podnoszenie go do Boga w mesjanizmie i uświęcanie zań śmierci na polu bitwy. Mickiewicz dał narodowi nową drogę—*ducha*, po której poszli wszyscy po nim aż do zmartwychwstania Polski. Jakoż nie mylił się Krasiński, który po śmierci Mickiewicza powiedział: My wszyscy z niego.

PROF. K. SERINI.

LIST DO FILIPJAN.

(dalszy ciąg)

List do Filipjan 2 1—2. „Jeśli tedy jest jakie napominanie w Chrystusie, jeśli jaka pociecha miłości, jeśli jaka wspólność ducha, jeśli jakie serce i zlitowanie dopełnijcie radości mojej, abyście toż samo myśleli, mając tą samą miłość, będąc jednomyślni i jedno rozumiejący, nic nie czyniąc przez kłótliwość lub próżność, ale w pokorze jedni drugich mając za wyższych od siebie. Niech każdy dba nie o swoje, ale każdy i o cudze".

Dziwne refleksje budzą się przy czytaniu tych kilku wierszy Pisma Św.; jak daleko odbiegł nasz świat od owych szczęśliwych czasów, gdy słowo „jedność" nie było czczem hasłem, przeznaczonem do obałamucenia łatwowiernych słuchaczów lub czytelników, lecz poważnem napomnieniem, mającem przyoblec się w szaty rzeczywistości. Nie mogąc odmówić apostołowi Pawłowi wiary w słuszność i skuteczność swych słów, osłabiamy ich znaczenie przez podkreślenie prostoty tych warunków, wśród których upływało nieskomplikowane życie ówczesnych chrześcijan w Filipi. Należeli oni przeważnie do jednej warstwy społecznej, serca pałały wspólną wiarą w Jezusa Chrystusa, wrogi stosunek otaczającego świata łączył silnemi więzami wspólnie doświadczanych prześladowań; nie wolno się przeto nam dziwić, że Paweł zwraca się do Filipjan z serdeczną prośbą zachowania jedności, a zrozumiałą staje się jego wiara, że słowa padną na grunt podatny i wydadzą obfity plon.

Życie dzisiejsze upływa wśród zgoła odmiennych warunków; walki zawzięte toczą się na wszystkich jego odcinkach, czy przeto słowa o jednomyślnaści, pokorze, miłości nie zakrawają na piękną lecz czczą utopję?.

Zawinilibyśmy względem Pawła i Filipjan, zarzucając im brak zmysłu rzeczywistości; ani Paweł, na wolności — tkacz, ani Filipjanie, rekrutujący się z ówczesnego proletarjatu, nie mogli pozwolić sobie na zbytek idealizowania rzeczywistości; twardo stali na gruncie istotnego, a nie urojonego życia; dlatego słowa Pawłowe miały swą wagę i stawały się ciałem.

Twierdzić wolno, że nie straciły one nic ze swego realizmu pomimo prawie 1900 lat, które upłynęły od chwili ich napisania, pomimo zmian tak głęboko sięgających, że świat obecny niczem nie przypomina życia odległej mieściny greckiej początku naszej ery. Jednak serce ludzkie bije tą samą tęsknotą za życzliwością, uczynnością i miłością, a życie społeczne oscyluje między szałem nienawiści a entuzjazmem miłości, między walką nieubłaganą, a pomocą wzajemną, między rozbiciem a jednością.

Ciężko obecnie pokutuje ludzkość za odwrócenie się od wzoru, którym świecił Chrystus, za danie posłuchu apostołom nienawiści i walki. Znaczna część ludzkości doszła wreszcie do przeświadczenia, że ratunek i zbawienie leży w jedności. Ruchy wszechświatowe na polu religijnem, kościelnem, społecznem a nawet politycznem są tych tendencyj wyraźnym dowodem, lecz nikłość wyników a nawet bezowocność udowadniają słuszność słów Pawła: „nic nie czyniąc przez kłótliwość lub próżność, ale w pokorze jedni drugich mając za wyższych od siebie". Szczytem rzekomej utopijności ma być ostatnie napomnienie: „niech każdy dba nie o swoje, ale każdy i o cudze", od współzawodnictwa ma więc ludzkość przejść do współpracy.

Dokładnie wiedział apostoł Paweł, z jakiemi trudnościami wypadnie walczyć, jakie wrogie siły przezwyciężyć na drodze do urzeczywistnienia ideału jedności; wiedział, że zbliżenie się do celu wysokiego nastąpi nie przez zmianę warunków społecznych i politycznych, lecz przez odrodzenie wewnętrzne; warunkiem więc osiągnięcia jedności jest przynajmniej odrobina „napominania w Chrystusie, pociechy w miłości, wspólności ducha, serdecznego zlitowania".

W niewielu wyrazach Pismo Św. kreśli program społeczny, blisko stykający się z założeniami tego ruchu społecznego, któremu wybitni teoretycy i praktycy nadali miano solidaryzmu; znajduje on obok bardzo licznych przeciwników w kołach wyznawców walki klas oddanych sobie całkowicie przedstawicieli i uczniów. Zdziwiliby się oni niepomiernie, gdyby ich wiara społeczna, znajdująca swój wyraz w programie solidaryzmu, miała być ochrzczona mianem utopji i przeto jako nierealna usunięta została poza nawias życia; przeciwnie — solidaryści twierdzą, że ich nawoływania budzą coraz silniejsze echo, wskazania zaś są stopniowo urzeczywistniane; świat musi wejść na tory jedności, o ile nie chce zginąć w odmętach walki gospodarczej, społecznej, narodowej i politycznej.

Między programem jedności, wysuwanym przez Pawła, a zasadami, głoszonemi przez solidaryzm, zachodzi ta podstawowa różnica, że apostoł Paweł buduje swój gmach na fundamentach religijnych, solidaryzm zaś oczekuje urzeczywistnienia swych ideałów od nakazów życia. Przyszłość rozstrzygnie, który z dwóch wymienionych programów liczy się z niezaprzeczalną rzeczywistością. Chętnie uznając wielkie wartości, zawarte w solidaryźmie, śmiemy twierdzić, że tylko wtedy przestanie człowiek być człowiekowi wilkiem, gdy miłość Chrystusowa rozpłomieni serca.

(d. c. n.).

P. HULKA-LASKOWSKI.

REWINDYKACJE.

Losy religji w Polsce są zgoła osobliwe. Dla królów i hierarchji była ona narzędziem politycznem, dla mas ludowych aż nazbyt długo była rodzajem magji, w której przeżytki pogańskie i wyobrażenia chrześcijańskie mieszały się z sobą tak osobliwie, jak bodaj nigdzie. Aż do reformacji włącznie masy ludowe żyły jakiemiś okruszynami „kierleszów", niezrozumiałych dla nich pacierzy, obrzędów i obserwancyj, mieszanych zgoła dowolnie z prastaremi zabobonami pogańskiemi. Reformacja wymusiła na klerze rzymskim pewien ruch umysłowy, ale niedługi, bo reakcja katolicka była znowuż dążeniem do kwietyzmu i mechanizacji życia religijnego. Kościół rzymski zdołał zaszczepić swoim wyznawcom przekonanie, że właściwie niczego nie trzeba prócz wyznawania prawowiernej religji jedynozbawczego kościoła. Wszelkie zło, niedole, głody i ciemności świata tego przypisywano temu, że na świecie obok ludzi prawowiernych istnieją także poganie, heretycy, luteranie, kalwiniści, hugenoci, apostaci i... piraci morscy, których wszystkich razem i jednocześnie wyklął papież Urban VIII. Ten magizm miał swoją specjalną mistykę i przekonanie, że gdy na świecie nastanie panowanie jedynego pasterza nad jedyną rzymską owczarnią, wówczas będzie dobrze.

Życie wielu pokoleń, skarby gromadzone stuleciami, rzeki krwi i łez poszły na realizowanie tej dyktatorskiej chimery Rzymu, do której dążono drogami uświęconemi wszelkiemi celami tylko nie tym jednym, do którego wieść miały. U nas w Polsce dzięki osobliwej psychologji społeczeństwa kler zabrał się do urzeczywistniania średniowiecznych ideałów papieskich w chwili, gdy wszystkie narody katolickie już je zarzucały. Przeżyliśmy więc spóźnione wyprawy krzyżowe za Sobieskiego i jego poprzedników, oraz schyłek średniowiecza za Sasów, co miało dla nas skutki tragiczne. Panowanie obce wymuszało na hierarchji rzymskiej pewne liczenie się z wymaganiami polityki państw zaborczych, ale wnetże po odzyskaniu niepodległości, kler zawrócił tam, gdzie dzieło jego przerwali obcy zaborcy, i zabrał się do katoliczenia mieszkańców Polski swoim starym, mechanicznym obyczajem przy pomocy ramienia świeckiego.

Reakcję katolicką w Polsce, jak i gdzieindziej zresztą, cechowała krańcowa nietolerancja wobec heretyków, schizmatyków i tych wszystkich, którzy nie uznawali nad sobą panowania papieża. Nie chodziło bynajmniej o realizowanie doktryny chrześcijańskiej, o krzewienie elementarnych wniosków wynikających z Ewangelji, bo kler bardzo łatwo godził się na nieludzką pańszczyznę, sam gasił światło, gdzie tylko mógł, i godził się ze wszystkiem, co czynili możni świata tego, a wreszcie sam zabrał się do swoistej polityki, polegającej na sprzedawaniu Polski „obcym potencjom" za gotówkę. Gdy przyszły rozbiory, przygotowane w znacznej mierze jego postawą i jego postępowaniem w Rzeczypospolitej, odśpiewał Te Deum na cześć nowych władców i podporządkował się mocnej obcej władzy. Podczas gdy kalwin Konarski ginął jako męczennik sprawy narodowej, biskup Siemaszko z innymi wdzięczył się do cara i dla dobrze zrozumianego interesu przechodził na prawosławie. Klerowi rzymskiemu zawsze bowiem imponowała siła. Czy to był Napoleon, czy Mikołaj I, czy Bismarck, zawsze znalazł w Rzymie posłuszne narzedzie swojej polityki, a kler całego świata czynił to, co mu kazał Rzym. Tylko Rzeczypospolita nie umiała się zdobyć na postawę budzącą respekt w klerze rzymskim. On rządził Polską, on ją na swój sposób „oświecał", on unifikował prawosławnych tak skutecznie, aż Rzeczpospolita zaczęła się chwiać od wschodu i on wyklinał powstania, powtarzając klątwy za papieżem, zakazując po kościołach modłów za Polskę i oświadczał się przy nadarzonej sposobności z wiernością dla zaborców.

Działo się to wszystko na tle zgoła wyjątkowych w dziejach narodów cywilizowanych wystąpień największych synów narodu, którzy nie przestawali przestrzegać Polski przed Rzymem. Niestety, były to tylko ciche monologi najznakomitszych Polaków, soliloquia nie podtrzymane przez nikogo, słuchane przez mało kogo, lekceważone przez wszystkich. Podczas gdy światli obywatele na przestrzeni pięciu wieków wskazywali narodowi jego własne cele, Orzechowski nauczał tłum szlachecki z właściwym sobie hałasem, że król istnieje tylko jako sługa kapłana i że od kapłana wszystko zawisło. Skarga nauczył lekceważyć ojczyznę ziemską, bo „jeśli ona zginie, to przy wiecznej się ostoim". Mickiewiczowie wzywali do walki, a Skrzyneccy wywodzili, że walczyć nie wolno, bo spowiednik nie każe. Rzecz prosta, że w kraju bez własnej opinji musiała mieć znaczenie zgoła osobliwe zorganizowana i mocna opinja rzymska. I właśnie ona rządziła krajem. Katoliczyła go, ale w sposób tak niezręczny, mechaniczny i dziwaczny, że ostatecznie najdotkliwiej szkodziła katolicyzmowi rzymskiemu a jednocześnie gubiła Polskę, której niby to miała służyć i być ostoją.

Początkiem końca Rzeczypospolitej nazywano powstania Ukrainy przeciwko Polsce, spowodowane w mierze bardzo znacznej właśnie fatalnemi usiłowaniami kleru rzymskiego, idącemi w kierunku skatoliczenia prawosławnych. Unja miała być ogniwem łączącem zachód ze wschodem i winna była stać się przedmiotem specjalnej miłości i opieki ze strony swoich twórców, to jest kleru rzymskiego. Zamiast tego była przedmiotem lekceważenia i pogardy. Przedsta-

wicieli Unji tak samo jak i prawosławnych nie dopuszczano do władzy, a wszyscy rzecznicy ludności unickiej skarżą się tak samo jak prawosławni na ucisk i lekceważenie. Recz dziwna: Unja miała odwodzić prawosławnych od prawosławia i pociągać ich ku katolicyzmowi, ale w rzeczywistości osiągała skutek zgoła przeciwny. Polityka kleru rzymskiego likwidowała Unję bezustannie, bo jej przedstawicieli szlacheckich zmuszała do przyjmowania katolicyzmu rzymskiego. Pozostawała zawsze tylko masa ludowa, tak dalece obojętna dla Unji, że dość było jednego ukazu carowej, aby to dzieło, za które Rzeczpospolita zapłaciła tak strasznie drogo, przestało istnieć odrazu. Jedynym rezultatem tych usiłowań była wzrastająca nienawiść ludności kresowej dla „Lachów, wyzuwitów (jezuitów) i żydów", opłakane skutki tej nienawiści i kanonizacja arcybiskupa Kuncewicza, który za swoje nieludzkie postępowanie wobec bezbronnej ludności innowierczej został przez tę ludność zamordowany i powiększył i tak już liczne grono naszych świętych politycznych.

O tych sprawach godnych najżywszej uwagi, napisał ciekawą rozprawę Stanisław Piotrowski pod nagłówkiem „Wojna religijna na kresach". Rozprawa ta była drukowana w „Tygodniku", obecnie zaś jako dwuarkuszowa broszura wyszła nakładem autora i jest dla każdego dostępna. Mamy na kresach istotnie do czynienia ze zjawiskiem, któremu autor słusznie dał miano wojny, a które w terminologji klerykalnej nazywa się „rewindykacja". Episkopat rzymsko-katolicki wystąpił do sądów z 725 powództwami, w czem 692 przeciw instytucjom prawosławnym i 33 przeciw skarbowi państwa. Chodzi o kościoły prawosławne i majątki, jedne i drugie jakoby pounickie. Piotrowski omawia wyczerpująco szereg broszur episkopatu rzymskiego, a z tego obfitego materjału zdumiony czytelnik dowiaduje się, że prócz setek kościołów, które mają być prawosławnym odebrane na mocy wyroków sądowych, 500 cerkwi prawosławnych zabrali katolicy bez sądu po wojnie bolszewickiej. Akcja jest zakrojona szeroko i nietylko stwarza nam zaciekłych wrogów na kresach i powoduje wielkie trudności w granicach Rzeczypospolitej, ale wydostaje się już na forum międzynarodowe, tak że Polska staje się przedmiotem oficjalnych interpelacyj w parlamencie angielskim i w kongresie amerykańskim jako kraj prześladujący swoich obywateli prawosławnych. To są sprawy, które w następstwach mogą być dla nas fatalne.

Czy nie mogłoby się obyć bez tych przykrych i niepotrzebnych wystąpień biskupów rzymskich? Czy kościoły, które mają być odebrane, potrzebne są ludności katolickiej? Na podstawie materjału urzędowego Piotrowski wykazuje, że kościoły te nietylko nie są potrzebne, ale znajdują się w miejscowościach, gdzie katolików albo niema wcale, albo jeśli są w niewielkich gromadkach, to posiadają kościołów więcej niż prawosławni. Chodzi więc jedynie o zamanifestowanie siły przed prawem, a mianowicie dlatego, że takie a takie kościoły były niegdyś unickie i dopiero sto lat temu stały się ponownie prawosławnemi. Zauważmy, że w ciągu stuleci kościoły te były prawosławne, potem przemieniono je w unickie (a jak to sie robiło, o tem wiemy choćby z listu Lwa Sapiehy, kanclerza litewskiego do arcybiskupa Józefata Kuncewicza, fanatycznego mechanizatora i unifikatora), w pierwszej połowie zeszłego wieku stały się znowu prawosławnemi, a teraz upominają się o nie *nie władze kościelne unickie, ale biskupi łacińscy*, zaś hałaśliwy biskup Łoziński mówi o skradzionym kożuchu i konieczności zwrotu tego skradzionego kożucha.

Słusznie zwraca uwagę Piotrowski, że tu przecież nie chodzi o jakieś martwe abstrakcje, ale o żywych ludzi. Niegdyś te kwestjonowane kościoły były prawosławne, potem na krótki czas polityka zrobiła z nich kościoły unickie, następnie rozkaz carski przywrócił je prawosławiu. Dzisiaj ludzie chodzący do tych kościołów na nabożeństwa, są do swego prawosławnego wyznania szczerze przywiązani. Biskupi rzymscy powiadają, że na prawosławie przeciągnięto unitów przemocą. Uważają tedy, że zło uczynione przed wiekiem może być odczynione tylko nowym aktem przemocy: masowem odbieraniem kościołów obywatelom Rzeczypospolitej. Jest to jak na chrześcijaństwo ogromnie niepoważne, jak na politykę ciemne i ponure, zaś dla Polski wogóle fatalne. Historja upływa Polsce, a szczególniej jej kresom wschodnim, na sprawach bardzo dziwnych. Biskupi tak wyłącznie troszczą się o zbawienie rzymskie tych co chcą i tych co nie chcą tego zbawienia, że dla zbawienia społecznego nie pozostaje literalnie nic.

Cóż to bowiem jest za historja upływająca na odbieraniu sobie kościołów? Nietylko fachowi historycy i politycy pamiętają, co się działo za Kuncewicza, którego polityka unifikacyjna rozbijała Polskę i przygotowywała jej upadek. Unja rzymska stała się straszliwą dyzunją Polski i miljony ludu prawosławnego wpędziła w objęcia Moskwy, uzbrajając je nienawiścią dla wszystkiego co polskie. Nawet taki gorliwy katolik jak Lew Sapieha musiał wykładać ducha Ewangelji fanatykowi Kuncewiczowi, a katolicki historyk Józef Szujski uważał za konieczne przytoczyć słowa Sapiehy pod adresem Kuncewicza wypowiedziane: „Powinniście władzę swoją i powinność pasterską stosować do zamiarów rządowych, wiedząc, że władza wasza jest ograniczona i że pokuszenie się wasze na to, co spokojności i pożytkowi społeczeństwa jest przeciwne, sprawiedliwie może być poczytane za naruszenie majestatu. Gdybyście się odważyli na co podobnego w Rzymie albo w Wenecji, zapewneby was tam nauczyli, ile potrzeba mieć baczności na położenie lub zamiary polityczne rządu".

Słowa te nie straciły na aktualności. Taka polityka nie przynosi pożytku nikomu i niczemu. Rzym na niej traci, Polska ponosi koszty

tej niegodnej zabawy w rewindykacje, a lud patrzy na „chrześcijaństwo" biskupów i carów i dochodzi do takich wniosków, jakie zapisał w swoich wrażeniach „Z ziemi Chełmskiej" Władysław Reymont. Człowiek cierpiał, męczył się gdy jedni wydzierali go drugim przy pomocy więzień, szabel i nahajek, „a później przejrzałem wszystko na wylot i teraz wiem, że jedni i drudzy tak samo djabła warci... Każdy chłopa ciągnie na swoją stronę, bo każdy tylko z chłopa żyje. Żeby się im nie przytrafiło, jak tym babom, co się kłóciły o psa i dalejże go sobie wydzierać, aż się psu sprzykrzyła ta zabawa jego skórą... i pogryzł obie".

Piotrowski podaje w swej pracy szczegóły mrożące krew w żyłach, jak naprzykład walka o kościół w Żabczu, gdzie ta fatalna polityka klerykalna wszczęła iście średniowieczne awantury dla siedmiu rodzin unickich przeciwko 179 rodzinom prawosławnym. Dwadzieścia pięć razy więcej prawosławnych, ale duchowni politykanci, chcąc postawić na swojem, kazali siłą odbierać prawosławnemu ludowi kościół. Polityka odbierania sobie skradzionego kożucha! O porozumienie trudno, bo jedni powołują się na pierwszeństwo tradycji, drudzy ufają pierwszeństwu siły. Ale sądy polskie postępują po salomonowemu. Rewindykującym biskupom każą dostarczyć sobie dowodów własności i sprawę odraczają. Ponieważ biskupi chcieliby się procesować możliwie bez kosztów i domagają się uznania ich za ubogich, sądy znowuż znajdują mądre wyjście, wskazując na fakt, że nie chodzi o sprawy biskupie, ale o sprawy całego kościoła rzymskiego, który przecie ubogi nie jest i świadectwa ubóstwa od nikogo nie otrzyma.

Krótkowzroczność tej dziwacznej polityki biskupiej zastanawia. Piotrowski zwraca uwagę na konsekwencje zwycięstw sądowych, gdyby one nawet były możliwe. Któż i w jaki sposób będzie egzekwował wyroki? Przecież ten lud, który Kuncewiczowie unifikowali, a carowie na swój sposób nanowo sprawosławiali, ma już pewną szkołę i dobrowolnie ustępować nie będzie. Więc co? Policja, wojsko? W imię czego? W imię miłości chrześcijańskiej? Przeszłość, taka jeszcze niedawna, mówi nam wyraźnie, co z tej zabawy biskupiej wyniknąć musi. Trzeba im to wyperswadować i działalności ich wytknąć cele szlachetne i mądre. Kto sieje wiatr, ten zawsze zbiera burzę. Biskupom rzymskim było dawniej wszystko jedno, kto będzie rządził w danym kraju, bo nad masami ludowemi panowali zawsze oni. Dzisiaj jest inaczej: gdyby dzisiaj ta nieodpowiedzialna i niepoczytalna polityka sprowadzić miała nieszczęścia, jakie sprowadzała zawsze, to jej autorzy musieliby ponieść za nią odpowiedzialność bezpośrednią. Muszą zdać sobie sprawę z tego, zaś społeczeństwo i władze państwowe winny się zabrać energicznie do uregulowania spraw wyznaniowych na gruncie elementarnych zasad wolności sumienia i interesów Rzeczypospolitej. Mussolini odsunął klerykalnych polityków nabok, odebrał im wpływ na wychowanie młodzieży, to samo stanie się niedługo w Hiszpanji. Dlaczego jedyna jeszcze Polska miałaby być terenem doświadczeń, których skutki zna cały świat? Mechanizacja religji i politykanctwo kleru w kraju, który ma 40% innowierców, 30% analfabetów, masę nędzarzy i biedaków powojennych, jest czemś niedopuszczalnem i smutnem. Trzeba oświecać ciemnych, karmić głodnych, odziewać nagich, stwarzać ogniska pracy dla zdrowych i przytuliska dla nieszczęśliwych — oto pole polityki „rewindykacyjnej". Odebrać złu wszystko, nad czem ono panuje, odzyskać wszystko, co utraciło dobro i piekno. Ale na to trzeba pracy, wysiłku rąk i głów, a biskupi woleliby wygrać proces i panować, chociaż Chrystus tak wyraźnie każe pracować i tak stanowczo odradza to, co należałoby nazwać klerykalnem pieniactwem. Możemy się cieszyć, że coraz częściej odzywają się głosy takie jak Piotrowskiego, bo wszelkie monachomanje odbywały i odbywają się zawsze kosztem ludzi pracujących. Czas najwyższy skończyć z tem w imię Polski i cywilizacji.

WACŁAW GRANZOW.

GROTTGER.

Obok Matejki — największym artystą polskim 19 wieku był Artur Grottger. Całą jego twórczość cechuje niesłychany polot genjuszu. Natchnienie do swych arcydzieł czerpał on w okropnej tragedji, jaką przeżywała współczesna mu Polska — Polska umęczona, Polska w kajdanach, ta Polska, której wieszczono zostać Chrystusem narodów.

Muza Grottgera zawiodła go na tak zawrotne szczyty, że odtąd, z wyżyn tych, przewodzi on zwycięsko, wespół z Matejką, całej sztuce polskiej zeszłego stulecia.

Smutne i opłakane najczęściej są dzieje genjuszów, gdyż sława — ta wielka pani — byle czem okupić się nie da. Za nią się płaci stygmatem ofiary i męczeństwa. Kto ogląda, czyta lub słucha wielkie arcydzieła sztuki, poezji lub muzyki, kto się zachwyca czarem ich promiennym, zazdroszcząc sławie twórców, nikt się wówczas nie zastanawia, za jaką ta sława kupiona sumę łez, cierpień, samozaparcia i w jakich bólach przychodzi na świat wszystko to, co jest nieśmiertelne. Jeżeli dodać do tego to, co wyrzekł Nietsche, t. j. że kochankowie nieba

umierają młodo — otrzymamy wówczas całkowitą i wierną sylwetkę duchową Artura Grottgera.

Ród swój wywodził on stamtąd, skąd i Słowacki, Chopin lub Wyspiański, gdyż duchy pokrewne zawsze kroczą jednemi, sobie tylko znanemi, drogami..... Tak, jak zresztą każda hierarchja w każdem społeczeństwie. Może i dlatego u wielkich ludzi dostrzegamy ten wieczny brak harmonji w stosunku do współczesnych, że górne ścieżki tamtych i przyziemne szlaki tych rzadko kiedy z sobą się stykają; a jeżeli się i spotykają, to chyba na krótką tylko chwilę. Dlatego to bezgraniczną swoją samotność i odosobnienie najlepiej zawsze odczuwali na sobie ludzie prawdziwie wielcy.

Artur Grottger urodził się 11 listopada 1837 r. we wsi Ottyniowice pode Lwowem. Studja malarskie uskutecznia jako stypendysta w krakowskiej akademji Sztuk pięknych. Z Krakowa jedzie na dłuższy pobyt do Wiednia, gdzie powstają dwa słynne jego cykle: „Warszawa" i „Polonja". W siedemnastym roku życia odumiera mu ojciec i młodziutki Grottger zostaje głównym opiekunem i żywicielem kochanej matki i trojga młodszego rodzeństwa. Aby podołać temu szczytnemu zadaniu, pracuje gorliwie jako ilustrator pism wiedeńskich, pracuje ponad siły, niekiedy po szesnaście godzin na dobę, co go wpędza i tak już wątłego od natury w nieuleczalną chorobę.

Po dziesięciu latach pobytu w Wiedniu, gdzie oprócz sławy ciągle mu towarzyszył głód i niedostatek, wraca na krótko do kraju, gdzie tworzy nowy cykl: „Lituanję", gdzie poznaje swoją narzeczoną — szesnastoletnią Wandę Monnè i zkąd. wbrew naleganiom serdecznego przyjaciela Stanisława Tarnowskiego, udaje się do Paryża. W Paryżu spędza jeden tylko, ostatni już rok swego życia. Tu w Paryżu też poczyna się i zostaje ukończony ostatni jego przesławny cykl „Wojna".

Cały dorobek artystyczny Grottgera podzielić można na trzy części. Do pierwszego działu należą jego ilustracje, któremi obdarzał hojnie książki i czasopisma wiedeńskie, ba — nawet kalendarze! Ale to mu nie uwłacza. Ta przymusowa, dla chleba, praca ilustratorska Grottgera nie poszła na marne. Z królewską szczodrobliwością rzucał on redaktorom, za ich nędzny grosz, prawdziwe niekiedy perełki swego talentu, młodziutki zaś Grottger nabierał przez nie rozmachu, werwy i wprawy we władaniu ołówkiem. Prac tego rodzaju wykonał blizko 300.

Drugi dział twórczości Grottgera zajmują już te obrazy i kompozycje, które wyczyniał nie z musu, lecz z zamiłowania. Jest ich długi, nieskończony szereg, a niektóre z nich np. „Spotkanie Sobieskiego z Leopoldem", otrzymują pierwsze nagrody na wystawach wiedeńskich. Tu już nam Grottger ukazuje oblicze niepospolitego artysty.

Mając często wzrok zwrócony ku dalekiej przeszłości, maluje sporo obrazów historycznych jak np. „Zygmunt i Barbara", „Ucieczka Walezjusza", „Modlitwa konfederatów barskich", sporządza też wiele portretów, maluje nastrojową „Modlitwę wieczorną rolnika" oraz wiele rezczy rodzajowych. W obrazach tych zewsząd wyziera już wielki artysta, rysunek w nich staje się coraz bardziej nieskazitelny, pomysły coraz bogatsze, kompozycja świetna, w kolorez zaś są one żywe, soczyste i doskonale zharmonizowane.

Ale jakkolwiek niejeden z obrazów tego działu dla każdego innego malarza mógłby już być tytułem do rozgłosu i zaszczytów, to jednak wielki duch Grottgera w dziale tym nie odnalazł jeszcze siebie. On już czuje u swych ramion potężne skrzydła, przewiduje potrzebę górnego lotu, duch zaś jego wyrywa się z tak żywiołową siłą w opanowanie coraz wyższych sfer, że wszystko, co stworzył dotychczas już go nie zadawala, ba! — przytłacza go nawet swą małością. Nurtujący go ferment, nawał coraz to nowych uczuć, wypadki w Warszawie, tragiczny rok 1863 — wszystko to każe mówić mu i protestować wielkim głosem, głosem — którym mógłby poruszyć z posad choćby całą Europę. I Grottger, odnalazłszy nareszcie siebie, zaczyna mówić, bo oto powstają jeden za drugim przesławne jego, a nieśmiertelne cykle. Na czele tego szeregu stoi cykl „Warszawa", po nim następuje cykl „Polonja", wreszcie „Lituanja", zamyka go zaś sobą i jednocześnie koronuje — cykl „Wojna".

W pierwszych trzech cyklach grottgerowskich znalazła swój wyraz cała tragedja pokrzywdzonego narodu. Wszystkie jego bóle i cierpienia potrafił Grottger zogniskować we wrażliwem swem sercu i nie mogąc już dłużej milczeć i trwać w postawie wyczekującej— wybucha. Był to rok 1861. Strzały na ulicach Warszawy, pięciu poległych a w parę tygodni później nowe gwałty i poległych już bez liku — wszystko to przebrało miarę goryczy i natura Grottgera zaczyna reagować. Wtedy to mianowicie stworzył on pierwszy swój cykl, złożony z siedmiu kartonów, zatytułowany „*Warszawa*" — stworzył go, jak sam się wyraził, „ku wiecznej morderców hańbie".

W cyklu tym zaklął Grottger te męki, cierpienia i święte oburzenie, jakie nurtowało w narodzie. Przepysznie rysowane kartony z niezwykłą maestrją oddają różne uczucia, jakie się malują na twarzach osób, zaklętych w ten pierwszy cykl. Tragiczne trzydziestogodzinne nieszpory, zamykanie kościołów, pierwsza ofiara, okno na placu Zamkowym, zrównanie stanów — oto treść poszczególnych kartonów tego cyklu, który nawet cudzoziemski Wiedeń przyjmuje z niewysłowionym entuzjazmem, gdyż poeci niemieccy składają hołd Grottgerowi, komponując wiersze do każdego z poszczególnych kartonów i deklamując je z niesłychanym zapałem na wielkich zebraniach artystycznych. Grottger, który był obecny na jednem z takich zebrań, pisze potem w jednym z listów:

„byłem przy tem i płakałem w duszy jak dziecko. Mój Boże, czyż można być lepiej wynagrodzonym".

Ale w miarę rozwoju wypadków, coraz okropniejszych dla duszy polaka, a zakończonych powstaniem zbrojnem — rośnie jednocześnie i wzmaga się w Grottgerze jakiś niesamowity rozpęd i furja, z jaką tworzy drugi swój sławny cykl, mianowicie *„Polonję"*.

Składa się on z ósmiu kartonów, dla Polski, niestety, bezpowrotnie straconych, gdyż znajduje się ten cykl „Polonji" w muzeum narodowem w Budapeszcie. Tu już Grottger staje się wieszczem.

W cyklu tym znowu odtworzona jest męka, przez jaką naród świeżo przeszedł. W „Polonji" dźwięczy ta sama nuta żalu, rozpaczy i tęsknoty za utraconą ojczyzną i ten sam ból patryotyczny, jaki rozlega się w niektórych rozdzierających melodjach Chopina. A cóż jest treścią tych ósmiu kartonów „Polonji"? — Oto najpierw branka, co znaczy zabieranie mężczyzn z pod dachu rodzinnego do wojska moskiewskiego w obliczu oszalałych z rozpaczy niewiast; następnie idzie kuźnia powstańczych kos, potem obrona sztandaru, szturm do dworu, wreszcie zgliszcza domu po przejściu wroga oraz pobojowisko i śmierć dookoła i w końcu „Żałobne wieści". Postacie i twarze kobiece w cyklu tym Grottger traktuje idealnie.

Im dalej, tem myśl twórcza u Grottgera pracuje coraz intensywniej, wzmaga się, podwaja. Duch rośnie, potężnieje, lecz, niestety, kosztem ciała. Opuszcza więc już Grottger ostatecznie Wiedeń i wraca na półtoraroczny pobyt do kraju.

Artysta coraz częściej zapada na zdrowiu, zjawiają się pierwsze krwotoki. A rozkołysana wyobraźnia rodzi coraz to nowe pomysły twórcze, którym siły fizyczne nie zawsze już mogą sprostać.

Pobyt na wsi w Śniatynce u Stanisława Tarnowskiego przywraca mu znowu nadwątlone zdrowie. Artysta znowu się budzi i znowu staje gotowy do czynu. Tym razem silnie przemówiły do wyobraźni Grottgera echa leśne, idące z puszcz litewskich. Rodzi się nowy cykl, równie świetny jak „Warszawa" i „Polonja" — cykl *„Lituanja"*, którego akcja rozgrywa się już nie we dworze ani w polu, lecz w przepastnych kniejach litewskich i chacie kmiecej. Tragedję tej chaty, osnutą na tle 63 roku, zaklął wielki artysta w sześciu obrazach. Pod względem zwartości i jednolitości kompozycji, cykl ten znacznie przewyższa cykle poprzednie. Pomysły zaś do kartonów „Lituanji" zdradzają już sobą artystę tak wielkiej miary, że idzie tu Grottger w zawody z największymi... Widmo śmierci, włóczące się po nieprzebytych kniejach, tajemniczy znak w okienku, a dalej „Przysięga", „Bój", a potem pojawienie się już tylko... ducha, i wreszcie widzenie w tajgach syberyjskich — wszystko to jest tak genialne i prawdziwe, że budzi nietylko wstrząs artystyczny i podziw dla genjuszu, ale jednocześnie i cześć bezgraniczną dla tych niezliczonych a bezimiennych bohaterów narodowych, którzy ofiarną swą męką i śmiercią zgotowali zmartwychwstanie.

Należał Grottger do tego najwyższego kręgu duchów umęczonej Polski, co pod przewodem Mickiewicza wiódł naród gwiezdnym swym szlakiem w niezaprzeczoną, wszystkiemi proroctwami wyczarowaną jutrznię. Podczas powstania Grottger całą mocą swego nadwątlonego ciała wyrywał się z dalekiej obczyzny na plac boju. Sumienie wielkiego patrjoty nie dawało mu spokoju. I jakże cudownie się stało, że pozostał na miejscu. Łzy Grottgera, zaklęte w jego nieśmiertelne arcydzieła, tysiąckrotnie więcej dały Polsce, aniżeli by to uczyniły jego siły fizyczne w polu lub w lasach Lituanji.

Ostatni rok życia — to ostatnia stacja męki grottgerowskiej. Spędza go artysta w Paryżu, gnany tam jakąś siłą fatalną. Uważa się za wygnańca, mieszka na zimnem poddaszu, towarzyszy mu wiecznie, nieodstępna przez całe prawie życie, nędza; z kolonją polską utrzymuje dość zażyłe stosunki; życie mu upływa śród samych zawodów i udręczeń. Zastanawiając się nad goryczami życia, napisał raz ni stąd ni zowąd w jednym liście do narzeczonej takie słowa: „Pomyśl, gdyby malarz wezwał naraz swą muzę, albo swą Beatryks i powiedział jej: prowadź mnie tam, gdzie wre wojna"! — Słowa te były jakgdyby niewinnym poczęciem sie ostatniego jego wielkiego cyklu p. t. *„Wojna"*, który jest naicenniejszym djamentem w koronie jego chwały.

Natchnęła Grottgera do stworzenia tego cyklu już nie miłość ku jednemu narodowi, gdyż wielkie i gorące serce jego potrafiło promieniami swemi ogarniać coraz większe kręgi, zataczając je na ludzkość całą. Kartony „Wojny", podyktowane właśnie bezgraniczną trwogą o ludzkość, mogło wykrzesać z siebie tylko takie serce, które potrafiło kochać za miljony i które by tę ludzkość naprawdę chciało uszczęśliwić i przycisnąć do łona, a przynajmniej — ostrzec. Grottgerowi roiła się ludzkość odrodzona, uduchowiona, opasana wspólnym braterskim uściskiem; pragnie on jednocześnie całem gołębiem swem sercem, aby kainowe piętno ludzkości należało już tylko do przeszłości. Nie chce, aby ludzie byli szakalami. Odwraca się od słów: „Ludzkości, ty rodzie Kaina". W wielkiej i uroczystej chwili poczynania się tego cyklu zeszły się iście ze sobą dwa wielkie duchy: Mickiewicza i Grottgera, podając sobie dłonie w mistycznym uścisku. Tylko najwyżsi kapłani, męczennicy i święci potrafią tak błogosławić ludzkości na jej padole płaczu.

Święty zapał ogarnął Grottgera przy tworzeniu „Wojny". Pracuje nad nią w gorączce po kilkanaście godzin dziennie. Przeczuwając bliski swój koniec, chce przekazać w testamencie wszystkie te uczucia, któremi promieniało jego jestestwo. Idea wojny — tego zaprzeczenia miłości i tej największej ze zgróz, tak zatargała

ideą człowieczeństwa, którą istota Grotgera była ogarniętą do ostatniego tchnienia, że wielki artysta musiał się o niej wypowiedzieć całkowicie, aby móc spokojnie zamknąć oczy przed dalszą wędrówką. Blizki śmierci — musiał nam przekazać, co mniemał o wojnie — tem najohydniejszym z dzieci szatana, cuchnącym śmiercią.

W jedenastu kartonach tego wielkiego cyklu idea wojny znalazła tak doskonały wyraz, że w całej historji sztuki chcąc szukać czegoś podobnego, trzeba by się chyba zatrzymać aż na Dürerze, jego miedziorytach i jeźdzcach Apokalipsy.

Podobnie, jak duch Wergiljusza oprowadza Dantego po różnych okropnościach piekła, tak tu, we wszystkich kartonach cyklu, widzimy Muzę, oprowadzającą artystę po ciernistym szlaku wojny, obficie zroszonym krwią i łzami. Muzie nadał Grottger wszędzie idealne rysy Wandy Monné.

Wszystkie stacje męki i udręczeń ludzkich, sprowadzone wojną—oddane są przez Grottgera z idealną prostotą, bo prawdziwy genjusz zawsze jest zrozumianym przez wszystkich.

Groza i okrucieństwo tchnie z takich kartonów, jak „Zdrada i kara", „Losowanie rekrutów" lub „Pożoga", a zwłaszcza „Ludzie czy szakale". Rozczulającemi zaś są postacie dzieciątek, spoczywających błogo na rękach matek, które znowu żegnają w rozpaczy tych, co idą w otchłań wojny. Ile tragizmu jest w tym kontraście pomiędzy bolesnym wyrazem twarzy matki, a spokojem dziecka. Bose dzieci, okryte jedyną koszuliną w spalonym i zrabowanym dworze, lub te zgłodniałe maleństwa, wyciągające drobne rączyny po kawałek chleba — jakże to wszystko jest prawdziwe i jakże nam serdecznie każe nienawidzieć i odwracać się od tej zmory, grożącej wiecznie światu. Jeden z lepszych kartonów, wyobrażający „Znieważenie Boga" tchnie taką już ohydą, że nawet Muza, załamawszy ręce, zapuszcza zasłonę na oczy, aby ich nie kalać. Artysta zaś w bezbrzeżnym bólu odwraca się od widzianej sceny, skłaniając w omdleniu głowę na ramieniu oprowadzającej go Muzy.

Chrześcijańskie serce Grottgera, nakazujące miłować bliźniego i kryształowa jego dusza wzdrygały się na samą myśl wyrządzania komukolwiek krzywdy. Idea zaś wojny doprowadzała go do szału. Umarł, nie doczekawszy jej okropności. Było to w grudniu 1867 r.

Na kilka tygodni przed śmiercią Grottgera, cykl „Wojnę" zakupił pierwszy jego cesarski protektor, umieszczając arcydzieło polaka w swoim zamku Gödöllö na Węgrzech, zkąd przed kilku laty cykl ten cudem powrócił na ojczyzny łono. Należałoby pragnąć, aby podobny cud mógł stać się i z cyklem „Polonja", uwięzionym dotychczas w Budapeszcie. Ale również należałoby pomyśleć o popularyzowaniu i rozpowszechnianiu arcydzieł grottgerowskich w możliwie tanich a dobrych reprodukcjach. Po za znikomą garstką ludzi z najwyższych sfer kulturalnych — dziś coraz mniej już znamy Grottgera. Dwie wielkie o nim monografje (Potockiego i Antoniewicza) dla szerszego ogółu są całkiem niedostępne, reprodukcyj cyklów w handlu nie widzimy, odpowiedni zaś wydawcy nie mogą się nawet zdobyć na reprodukowanie tych rzeczy choćby na odkrytkach. Zato na Węgrzech cykl „Polonja" jest każdemu dobrze znany. Nie należy nam odpłacać niewdzięcznością tym, co życie swoje oddali dla sprawy — bo to się mści. Stokroć lepiej uczcilibyśmy pamięć świętą wielkiego artysty i patryoty, rozpowszechniając wszędzie jego arcydzieła, aniżeli nawet stawiając mu pomniki. Każdy dom polski, chata i szkoła winny się szczycić znajomością Grottgera.

Po wykończeniu ostatniego swego cyklu, już niedługo sądzonem było Grottgerowi pozostawać przy życiu i cieszyć się słońcem. Na parę tygodni przed śmiercią odwiedza go jeszcze w Paryżu Matejko. Smutne to było spotkanie. Znalazł on go okropnym: oblany potem, twarz biała, jak alabaster. Powiew śmierci obijał się już o ściany ubogiej pracowni, choć Grottger wciąż jeszcze wówczas przenosił duszę swoją utęsknioną do Polski i do swoich. A kiedy zniknęła już ostatnia nadzieja powrotu do zdrowia, przewożą go jeszcze na południe Francji, do Amèlies les Bains, gdzie w kilka dni, zdala od rodaków, najbliższych krewnych i ubóstwianej narzeczonej, umiera w przerażającem osamotnieniu, w zimnym pokoju hotelowym po trzydziestoletniej niespełna męczeńskiej ziemskiej wędrówce. Tak skończył się ofiarny żywot wielkiego nauczyciela przyszłej Polski. Jak kometa przeleciał ponad ziemią, aby blaskiem swym olśnić, oczarować i zadziwić. Jak kometa też zostawił po sobie smugę świetlną, w którą długo jeszcze potomni wpartywać się będą.

Odszedł od życia, nic od niego nie wziąwszy, choć tyle tu zostawił! Takim jest zawsze ostateczny bilans promiennych duchów ludzkości.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO.

Wkroczenie chrześcijaństwa w świat *).

Literatura dotycząca początków i rozwoju chrześcijaństwa jest tak wielka, że nawet specjaliści nie opanowują jej całokształtu, a cóż dopiero mówić o czytelniku-laiku, który nie chce się ograniczyć do poznania w tej ważnej dziedzinie pewnego okresu badań, kierunku, czy szkoły. Pozytywizm teologiczny ma tak samo mnóstwo odcieni metodologicznych i rzeczowych, jak liberalizm, a od pozytywizmu aż po mitologizm i zrezygnowany agnostycyzm prowadzi droga tak długa, że przebyć ją można tylko

*) Walther Classen, Eintritt des Christentums in die Welt. Der Sieg des Christentums auf dem Hintergrunde der untergehenden antiken Kulkur (Wkroczenie chrześcijaństwa w świat. Zwycięstwo chrześcijaństwa na tle upadającej kultury antycznej). Leopold Klotz Verlag. Gotha 1930. Str. 434.

w specjalnie pomyślnych warunkach. W czasach, jak nasze, gdy co lat kilkanaście nawet erudyta staje się nieukiem, o ile nie uzupełnia bezustannie swoich wiadomości i nie poddaje ich gruntownej rewizji, jedynem wyjściem z trudnej sytuacji jest dobre dzieło syntetyczne, możliwie zwięzłe, ale i gruntowne zarazem streszczenie zdobyczy naukowych z jednoczesną ich oceną krytyczną i wystarczającą legitymacją naukową. Od czasu, gdy szkoła religjo-historyczna rozpatruje chrześcijaństwo na szerokiem tle cywilizacji powszechnej naukowe przesłanki chrześcijaństwa wybiegają daleko poza tradycjonalne żydostwo i obejmują właściwie cały starożytny Wschód o ile chodzi o początki nauki, i cały okrąg cywilizacji śródziemnomorskiej o ile chodzi o organizację kościoła i kształtowanie się dogmatu. Perspektywy przyczyn i skutków wprost bezkresne.

Dla podołania zadaniu tak rozległemu potrzebna jest nietylko wielka erudycja, lecz także wyjątkowe zdolności syntetyczne i talent pisarski. Wszystko to zespoliło się w nader szczęśliwą całość w omawianem dziele Walthera Classena. Tradycyjną podstawę żydowską rozszerza i pogłębia on tem wszystkiem, co wiedza zgromadziła i co się ostało wobec krytyki i czasu, na tem tle odmalowuje po rubensowsku plastycznie postać Jezusa, a dokoła niej zakreśla koła koncentryczne coraz większe: uczniów, wyznawców, polityków i rezydentów konwencjonalnych wielkiej idei. Mamy tu więc stopniowe przeobrażenia stosunku bliższego i dalszego świata do Jezusa i jego nauki, środowiska kulturalne, do których ta nauka przybywa, aby je przeobrażać, ale zarazem ulegać przeobrażeniom formalnym i istotnym, a wreszcie powstanie i rozkwit kościoła, który rozwija się w miarę, jak imperium rzymskie rozkłada się i upada.

Sztuka pisarska autora daje wspaniałe wizje takich ośrodków życia i użycia, jak Antjochja, Efez, Aleksandrja, Rzym, przedstawia stan umysłów i dusz bogaczy i nędzarzy, panów i niewolników, nastroje i wyczekiwania w łonie powstającego chrześcijaństwa i poza niem i ta intensywna synteza daje wspaniały jednolity a zarazem plastyczny obraz świata, do którego przybywało chrześcijaństwo i obraz kościoła, przystosowującego się do świata. Książka Classena operuje paralelami, ogromnie ułatwiającemi zrozumienie niepojętego faktu, że garstka uczni Jezusowych, nie posiadająca ani siły fizycznej, ani bogactwa, ani wiedzy, która byłaby mogła imponować komukolwiek, zdobyła cały świat, znajdujący się pod panowaniem półbogów-cezarów. Świat starożytny był pod względem religijnym, kulturalnym, politycznym i społecznym wyczerpany do ostatecznych granic. Możni świata tego osiągnęli byli już wszystko i nie mieli do czego dążyć, nędza upośledzonych doszła do szczytu i stawała się podobna do paraliżu. Świat zastygał i zamierał w bezruchu; potrzebna była wielka wiara i wielki entuzjazm dla wywołania ruchu odrodzeńczego. Nową wizję świata, która wzbudziła entuzjazm i pogardę śmierci, przyniosło chrześcijaństwo. Religja antyczna była tak dalece zespolona z państwem jako jedna z jego instytucyj, że nie mogła przeobrażać stosunków społecznych w duchu sprawiedliwości rozumianej po naszemu, ani tego czynić nie chciała, bo byłaby musiała podrywać własne podstawy istnienia. Była ona instytucją, sankcjonującą przywileje jednych i upośledzenie drugich. Chrześcijaństwo było więc w całem znaczeniu słowa zbawieniem społecznem i politycznem. Niewolnikom niosło wyzwolenie, głodnym chleb, wszystkim braterstwo. Prześladowania chrześcijan ze strony zagrożonego społeczeństwa i państwa są zrozumiałe: instynkt dawnych władców świata powiadał im niemylnie, że nadszedł ich koniec. Nie były to już stoickie sny o braterstwie, sny, które nikogo do niczego nie zobowiązywały, ale szła w ogromnym entuzjazmie nowa rzeczywistość, na obłokach niebieskich oczy ślepnące w niewoli widziały postać Syna Człowieczego i Boga, Ojca wszystkich ludzi, przed którym waliły się trony wszystkich bożyszcz i trony najpotężniejszych władców.

Stara polityka skazana była na zagładę i zniknęła z widowni świata, ale była on zbyt chciwa władzy, aby mogła była zrezygnować tak łatwo. Ustąpiwszy jednemi drzwiami, powracała innemi, aby z nowych sił ducha wytworzyć sobie narzędzie nowego panowania. Po niej przyszła stara wiedza pogańska i filozofja, aby entuzjazm zakuć w chłodne formuły, a wreszcie zgłosiła się i sztuka, która Duchowi zaczęła dawać kształty, ściągając go na ziemię i poddając prawom rzeczy ziemskich. Doskonałe stawało się ludzkiem-arcyludzkiem, miłość przeobraziła się w wyłączność i nienawiść, a braterstwo zastąpiła władcza hierarchja. Lecz idea stłumić się nie dała, powracając stale do tych, którzy po wszystkie czasy dostrzegali wielkość swej niedoli i potrzebowali zbawienia.

O tych sprawach książka Classena mówi na podstawie ścisłej wiedzy językiem i stylem artysty. Gdyby nie nasze zbyt jednostronne zainteresowania literackie, wyczerpujące się w literaturze powieściowej, to tłumaczenie takich dzieł mogłoby nam dać bardzo wiele.

Lector.

WIADOMOŚCI Z KOŚCIOŁA I O KOŚCIELE.

Synod Kościoła Ew. Ref. w Rzeczp. Polskiej.

W dniu 15-VI r. b. rozpoczęły się tegoroczne obrady Synodu Kościoła naszego. Obrady poprzedziło uroczyste nabożeństwo w Kościele na Lesznie, po skończeniu którego członkowie Synodu zgromadzili się w sali obrad Zboru Warszawskiego.

Stały Wice-Prezes Synodu — Ks. Superintendent Semadeni zagaił obrady modlitwą, a następnie uczczono przez powstanie pamięć całe-

go szeregu wybitnych i zasłużonych członków Kościoła naszego, zmarłych w ciągu ostatniego roku synodalnego. Odczytaniem szeregu listów i depesz z życzeniami dla Synodu zakończono wstępne czynności Synodu.

Bezpośrednio potem przystąpiono do wyborów Prezesa Synodu, powołując na to wysokie i zaszczytne stanowisko JWPana Władysława Karszo-Siedlewskiego, znanego przemysłowca i obywatela m. Warszawy. Po ukonstytuowaniu się biura synodalnego w osobach Ks. Ks. Radcy Skierskiego, jako Notarjusza Synodu i Ks. Fibicha, jako jego pomocnika, p. St. Bretscha, jako Pisarza Synodu i p. J. Pospiszyła, jako jego pomocnika, przystąpiono do prac. Przedewszystkiem zostało odczytane i przyjęte przez Synod sprawozdanie Konsystorza za rok synodalny 1929/30 z działalności Konsystorza, w sprawie wykonania uchwał Synodu zeszłorocznego i wreszcie ze stanu Zborów naszych. Ks. Superintendent przedstawił Synodowi wyczerpujące sprawozdanie z dokonanych przez siebie wizytacyj wszystkich niemal parafij prowincjonalnych, wreszcie Konsystorz powiadomił Synod o zarządzeniach swoich co do spornych spraw majątkowych, tyczących się własności parafialnych w Zborach Zelowskim i Sieleckim. Sprawozdanie o stanie budowy nowego kościoła naszego w mieście Łodzi zakończyło cykl sprawozdań Konsystorza w pierwszym dniu obrad synodalnych.

Ponieważ w roku bieżącym upływała kadencja urzędowania Prezesa Konsystorza, I Radcy świeckiego Konsystorza i Sekretarza, przystąpiono do wyborów. W głosowaniu tajnem wybrani zostali prawie jednomyślnie: JWPan profesor Henryk Sachs na Prezesa, WPan profesor Jerzy Kurnatowski na I Radcę świeckiego i WPan Stanisław Bretsch na Sekretarza — wszyscy ponownie.

Drugi dzień Synodu poświęcony był omawianiu najrozmaitszych spraw i zagadnień, dotyczących życia i rozwoju Kościoła naszego i oddzielnych Zborów naszych, stosunku Kościoła naszego do rozmaitych wszechświatowych organizacyj kościelnych ewangelickich i ustosunkowania się Kościoła naszego do ruchu ewangelickiego na Ukrainie. W związku z utworzeniem kontynentalnej grupy europejskiej światowego Związku Kościołów Prezbyteryjnych i mającą się odbyć w miesiącu wrześniu r. b. w Elberfeldzie konferencją przedstawicieli Kościołów, w skład tej grupy wchodzących, Synod postanowił przyjąć zaproszenie do wzięcia udziału w konferencji, delegując, jako przedstawiciela Kościoła naszego, Księdza Superintendenta W. Semadeniego.

Wreszcie Synod, po wysłuchaniu przedstawienia Konsystorza o złożeniu przez kandydatów teologji — pp. Piaseckiego i Pospiszyła egzaminu konsystorskiego „pro ministerio" i wniosku Konsystorza o uznanie ich za godnych powołania na urząd duszpasterski w Kościele naszym, uchwałą swoją postanowił przyjąć pp. Piaseckiego i Pospiszyła do grona duchownych Kościoła naszego, polecając Konsystorzowi poczynienie zarządzeń w sprawie ich uroczystej ordynacji (wyświęcenia).

Uroczyste nabożeństwo dziękczynne o godzinie 10 wieczorem w Poniedziałek, dn. 16 b. m. zakończyło tegoroczne obrady Synodu Kościoła naszego.

* * *

Ordynacje w Warszawskim Kościele Ew. Reformowanym.

W dniu 22. b. m. dopełniony został w Warszawskim kościele naszym rzadki i wielce podniosły akt ordynacji (wyświęcenia) na duchownych Kościoła naszego kandydatów teologji — pp. O. Piaseckiego i J. Pospiszyła. Ordynował kandydatów Ks. Superintendent Semadeni w asystencji Ks. Senjora płk. K. Szefera i Ks. Radcy S. Skierskiego według porządku ustanowionego przez Agendę naszą kościelną z r. 1637-go, dotychczas u nas obowiązującą. Cała uroczystość, a zwłaszcza moment ślubowania ordynowanych i udzielanie im poświęcającego błogosławieństwa przez nakładanie rąk, co sie zgodnie z Agendą ze szczególną odbywa uroczystością, wywarła na słuchaczach głębokie wrażenie.

Nowym pracownikom w Winnicy Pańskiej życzymy w ich przyszłej pracy duszpasterskiej hojnego błogosławieństwa Bożego. Oby Najwyższy Pan Kościoła wylał na służebników swoich Ducha swego Świętego obficie — Ducha uświęcenia, mądrości, pokory i wytrwałości.

* * *

Powołanie drugiego kapelana wojskowego wyznania ewangelicko-reformowanego.

Ks. W. Fibich, dotychczasowy Pasterz Zboru Ew. Ref. w Zelowie, powołany został do wojska, tymczasowo do rezerwy, w stopniu majora. W ciągu miesiąca lipca przechodzi on automatycznie do służby czynnej i obejmie stanowisko starszego kapelana wojskowego przy D. O. K. Toruń z siedzibą w Toruniu. Z tego też powodu zachodzi potrzeba obsadzenia opuszczonego przez Ks. Fibicha stanowiska w Zelowie, nad czem Konsystorz nasz zmuszony będzie w najbliższych dniach poważnie się zastanowić.

— S —

OFIARY.

Oprócz prenumeraty wpłacili na wydawnictwo:

1. W-y p. Włodzimierz Malinowski — Warszawa . zł. 2.00
2. W-a p. Katarzyna Dickman — Łomża . . . . „ 3.00
3. W-y p. Adolf Migurski — Warszawa . . . . „ 3.00

Serdeczne dzięki!

PORZĄDEK NABOŻEŃSTW

w Warszawskim Kościele Ewangelicko-Reformowanym na miesiąc lipiec 1930 r.

Nabożeństwa rozpoczynają się o godzinie 11·15 przed poł., o ile nie jest podana inna godzina.

1. Niedziela, dn. 6.VII. (III N. po Trójcy Świątej) z Komunją Ś-tą i bezpośredniem do niej przygotowaniem . . . . . — Ks. W. Semadeni.
2. Niedziela, dn. 13.VII. (IV N. po Trójcy Ś-tej) . . . . . — Ks. W. Semadeni.
3. Niedziela dn. 20.VII. (V N. po Trójcy Ś-tej) z Komunją Ś-tą i bezpośredniem do niej przygotowaniem . . . . . — Ks. W. Semadeni.
7. Niedziela, dn. 27.VII. (VI N. po Trójcy Ś-tej). . . . . — Ks. W. Semadeni.

OD REDAKCJI.

Szanownych czytelników i przyjaciół pisma naszego zawiadamiamy, że z powodu wyjazdu Redaktora na urlop kuracyjny następny numer „Jednoty" (podwójny 7 i 8) wyjdzie w drugiej połowie miesiąca sierpnia r. b.

REDAKCJA.

OGŁOSZENIE.

Studentka Uniwersytetu Poznańskiego narodowości niemieckiej poszukuje na lipiec i sierpień b.r. posady nauczycielki w inteligentnym domu polskim. Zgłoszenia kierować należy pod adresem: Ks. Dr Bickerich — Leszno poznańskie, ulica Komenjusza Nr 42.

CENY OGŁOSZEŃ: IV str. okładki — zł 150; II str. — 100; III str. — zł 75; ½ str. — zł 75, 50, 35; ¼ str. — zł 40 30, 20, i ⅛ str. bez względu na stronę — zł 20.

STRONY ZWYKŁE: cała strona — zł 100; ½ str. — 50; ¼ str. — 30; ⅛ — zł 20. — Przy ogłoszeniach kombinacyjnych i z kliszami do cen powyższych dolicza się 30%.

Główna Drukarnia Wojskowa. Warszawa, Przejazd 10.